

Classics To Go
NIENAZWANE
THE UNNAMABLE



H. P. Lovecraft

H.P. LOVECRAFT

NIENAZWANE

(THE UNNAMABLE)





NIENAZWANE

Pewnego jesiennego popołudnia, ja i mój przyjaciel rozmawialiśmy o nienazwanym, siedząc, obok zdewastowanego grobowca, na siedemnastowiecznym cmentarzu w Arkham. Spoglądając w stronę ogromnej wierzby, której pień był niemal wrośnięty w starą, nieczytelną płytę, rzuciłem nieco fantastyczną uwagę o upiornych i niewyobrażalnych sokach, jakie, kolosalne jej korzenie musiały wysysać z sędziwej, cmentarnej ziemi; przyjaciel mój skwitował jednak moje słowa śmiechem twierdząc, że to absurd i dodał, że skoro na cmentarzu tym, od ponad stu lat nikogo nie pochowano, w ziemi nie mogło być niczego, czym drzewo mogłoby odżywiać się w sposób inny niż normalnie.

Poza tym – dodał – moje nieustanne dyskusje o nienazwanym, *nota bene* zgoła dziecinne, zdawały się potwierdzać mą niską pozycję, jako autora marnych opowieści grozy. Zbyt usilnie pragnąłem kończyć swe opowiadania obrazami lub dźwiękami paralizującymi wszelkie poczynania bohaterów i pozostawić ich, pozbawionych resztek odwagi, słów czy świadków mogących opowiedzieć o tym, co im się przydarzyło. Poznajemy rzeczy – twierdził – jedynie dzięki naszym pięciu zmysłom albo religijnej intuicji, stąd też jest praktycznie niemożliwe mówić o jakiejś rzeczy bądź zdarzeniu, którego nie sposób opisać przy pomocy definicji faktu lub właściwych doktryn teologicznych – zwłaszcza kongregacjonalistów – oraz modyfikacji, zawdzięczanej tradycji i sir Arturowi Conan Doyle. Z tym przyjacielem, Joelem Mantonem, często prowadziłem długie, leniwe dysputy. Był on dyrektorem liceum East High, urodzonym i wychowanym

w Bostonie, przejawiającym typową dla Nowej Anglii przepęloną samozadowoleniem głuchotę wobec niektórych delikatnych niuansów życia. Z jego punktu widzenia jedynie nasze obiektywne postrzeganie miało jakiegokolwiek znaczenie etyczne, zaś do kompetencji artysty należało nie tyle rozbudzenie silnych wrażeń poprzez działanie, ekstazę i zaskoczenie, ale raczej pozyskanie zwykłego, spokojnego zainteresowania i szacunku, dzięki dokładnym, szczegółowym transformacjom codziennych wydarzeń. Miał obiekcje przede wszystkim do moich zainteresowań tym co mistyczne i niewyjaśnione; bo choć bardziej niż ja wierzył w zjawiska paranormalne, nie przyznałby, iż są one odpowiednim tematem do opisywania w książkach.

Dla jego praktycznego i logicznego umysłu było wręcz nie do pomyślenia, że umysł może znajdować wielką przyjemność w ucieczce od codziennych obowiązków i w oryginalnych, dramatycznych rekombinacjach obrazów wypaczonych czy zbanalizowanych przez nudę i przyzwyczajenia. W jego mniemaniu wszystkie rzeczy i odczucia miały dokładnie sprecyzowane rozmiary, właściwości, przyczyny i skutki. I choć mgliście zdawał sobie sprawę, że umysł przechowuje niekiedy obrazy i wrażenia dalece mniej geometrycznej, uporządkowanej i realnej natury, uważał za usprawiedliwione wyznaczenie granicy tolerancji i wyrugowanie poza nią wszystkiego, co nie mogło być doświadczone i zrozumiane przez przeciętnego obywatela. Poza tym był prawie pewny, że nie istnieje coś takiego jak "nienazwane" czy niemożliwe do opisanie. To zwyczajnie do niego nie przemawiało.

Pomimo iż zdawałem sobie sprawę, że argumenty wyobrażeń i metafizyki są niczym w porównaniu z samozadowoleniem ortodoksyjnego pragmatyka, coś w krajobrazie, na tle którego toczyliśmy nasz słowny pojedynek sprawiło, że stałem się bardziej zacięty niż zazwyczaj.

Rozsypujące się płyty grobowe, majestatyczne drzewa i stuletnie dwuspadowe dachy domów otaczającego nas, nawiedzanego przez czarownice miasteczka, wprawiły mnie w bojowy nastrój, i z uporem zacząłem bronić swego stanowiska, a niebawem zdołałem nawet wdrzeć się na terytorium przeciwnika. Kontratak bynajmniej nie był trudny, wspomniałem bowiem, że Joel Manton wierzył w wiele przesądów, których nie uznawali inni wykształceni ludzie w jego wieku: w pojawianie się w odległych miejscach duchów umierających ludzi i w to, że na szybach okien powstają odbicia twarzy ludzi, którzy przy nich siadywali.

W moich dywagacjach oparłem się właśnie na ludowych wierzeniach i przyjąłem, iż aby w nie wierzyć, należy również uwierzyć w istoty duchowe, istniejące niezależnie, nawet po oddzieleniu się od swych cielesnych powłok. Dowodziło to możliwości wiary w fenomeny nadnaturalne, bo skoro umarły może przekazywać swój widzialny, bądź wyczuwalny obraz na drugi koniec świata, albo "ukazywać się" przez stulecia po swojej śmierci, byłoby absurdem odrzucać ewentualność, że w opuszczonych domach gnieźdzą się dawne, czujące istoty, albo że cmentarze przesycone są przerażającą, bezcielesną inteligencją całych pokoleń. A skoro ducha, którego obecność przejawia się w różnorodnych formach, nie obejmują żadne prawa dotyczące materii, czemu miałyby być czymś niezwykłym wyobrażenie sobie fizycznie żyjących, "martwych" istot posiadających, bądź nie posiadających kształtów, ich materializacja zaś, z całą pewnością przez obserwatorów zjawiska zostałaaby określona mianem "nienazwanego". "Zdrowy rozsądek" w odniesieniu do tych spraw – zapewniłem ciepło mego przyjaciela – jest jedynie dowodem braku wyobraźni i dwuznaczności moralnej. Nadszedł zmierzch, ale żaden z nas nie miał ochoty przerwać dyskusji. Manton sprawiał wrażenie jakby nie poruszyły go moje argumenty i usiłował je obalać trwając niezmiennie przy

swoim zdaniu, dzięki czemu niewątpliwie osiągał sukcesy jako nauczyciel; jednak czułem się zbyt mocny, by obawiać się porażki. W odległych oknach zaczęły pojawiać się światła, ale my nie ruszyliśmy się z miejsca. Na starym, rozsypującym się grobowcu siedziało się nam wyśmienicie i wiedziałem, że mój prozaiczny przyjaciel nie przejmuje się ziejącą, mroczną szczeliną w naruszonej przez korzenie murarce, nieomal tuż za naszymi plecami, ani złowrogim cieniem rzucanym przez grożący runięciem, opuszczony, zdewastowany dom znajdujący się pomiędzy nami a najbliższą oświetloną drogą. Tak więc tkwiliśmy w ciemnościach, na uszkodzonym grobowcu, opodal opuszczonego domu, rozmawiając o "Nienazwanym", a gdy Joel przestał wreszcie szydzić z moich wypowiedzi, opowiedziałem mu o przerażającym dowodzie, potwierdzającym prawdziwość historii będącej głównym obiektem jego drwin.

Moje opowiadanie miało tytuł "Okno na poddaszu" i pojawiło się w styczniowym wydaniu "Szeptów" w 1922 roku, inspirowane opowieścią Mathera. W wielu miejscach, zwłaszcza na południu i wybrzeżu Pacyfiku, z powodu skarg tzw. "porządnych obywateli" w ogóle zaprzestano sprzedaży magazynu, w Nowej Anglii jednak nie przejęto się drukowanymi tam artykułami. Sprawa, którą udowodniłem, była, biologicznie rzecz biorąc, nieprawdopodobna, ot, jeszcze jedna szalona małomiasteczkowa historyjka, którą C. Mather uznał za dostatecznie naiwną, aby włączyć do swej "Magnalia Christi Americana", jednak dysponował tak nikłymi dowodami, że nic ośmielił się nawet wymienić nazwy miejscowości, w której wydarzył się ów koszmar. Co do mnie, to sposób w jaki uwypukliłem niektóre aspekty starej, posępnej opowieści, był raczej typowy dla pełnego fantazji lichego pisarzyny.

Mather faktycznie opowiadał o narodzinach tej Istoty, ale nikt prócz taniego łowcy sensacji nie myślał, że TO –istota z krwi i kości – mogłoby

dorosnąć, a nocami zaglądać ludziom do okien i ukrywać się na poddaszu, w starym domu – aż kiedyś ktoś, dostrzegł ją w oknie i osiwił, nie mogąc opisać tego, co zobaczył. Cała sprawa zdawała się trącić tanią sensacją i Manton nie omieszkał o tym wspomnieć.

Wówczas opowiedziałem mu o tym, co wyczytałem w starym dzienniku z lat 1706 – 1725, odnalezionym wśród rodzinnych dokumentów, niecałą milę od miejsca, w którym siedzieliśmy, i o bliznach na piersi i plecach mego przodka, o których wspomniano na kartach pamiętnika. Opowiedziałem mu również o innych lękach panujących w tej okolicy, o historiach przekazywanych szeptem, z pokolenia na pokolenie, i o tym jak zgoła nie mistyczny obłęd dosięgnął chłopca, który w 1795 roku wszedł do opuszczonego domu w poszukiwaniu pewnych konkretnych śladów, które spodziewał się tam znaleźć. To musiało być okropne – nic dziwnego, że wrażliwi studenci wzdrygali się na samą myśl o erze purytańskiej w Massachusetts. Tak niewiele wiadomo o tym co się wtedy działo – niemniej nawet drobne wzmianki o wydarzeniach jakie miały wówczas miejsce, są niczym przyprawiający o mdłości obraz rozkładającego się trupa i gnijących tkanek przesyconych wonią rozkładu. W erze tej nie było mowy o pięknie ani o wolności, widać to w architekturze i budowlach z tamtego okresu, a także w ociekających jadem kazaniach pseudoduchownych. A wewnątrz owego zardzewiałego żelaznego kaftana bezpieczeństwa czaiły się szokujące koszmary, ohyda, perwersja i diabolizm. Oto prawdziwa apoteoza nienazwanego.

Cotton Mather w swojej demonicznej "Szóstej Księdze", której nie należy czytać po zmierzchu, rzucając klątwę bynajmniej nie przebierał w słowach. Posępny niczym żydowski prorok i lakonicznie obojętny – w czym do dziś nie ma sobie równego, opowiedział historię o bestii, którą przywołał, stworze będącym czymś więcej aniżeli zwierzęciem, ale mniej

niż człowiekiem, istocie ze skazą na oku, i o nieszczęsnym wrzeszczącym pijaku, którego powieszono, bo miał takie samo oko. Tyle Ma-ther – z jego dziarskich słów nie sposób jednak domyśleć się co wydarzyło się później. Być może autor nie wiedział, a może nie odważył się o tym napisać. Inni wiedzieli, ale nie ośmielali się mówić; tajemnicą poliszynela była ciężka zasuwka wisząca na drzwiach prowadzących na poddasze w domu pewnego bezdietnego, zubożałego, zgorzkniałego starca, który położył wielką, pozbawioną napisu płytę nagrobną przy zapomnianym, nie odwiedzanym przez nikogo grobie, choć, jeśli dobrze poszukać, można by natknąć się na opowieści, które nawet największemu śmiałkowi zmroziłyby krew w żyłach.

Wszystko to odnalazłem w pamiętniku mego przodka; niedopowiedzenia, aluzje, insynuacje, przekazywane ukradkiem opowieści o istocie ze skazą na oku, widywanej nocami w oknie albo na opuszczonych łąkach, na skraju lasu. Któregoś wieczora coś napadło mego przodka na mrocznej drodze, w dolinie, pozostawiając mu po sobie ślady rogów na piersiach i małych pazurów na plecach; na ziemi zaś, obok miejsca napaści natrafiono na ślady jakby rozszczepionych kopyt i niezbyt wyraźnych, zamazanych antropoidalnych łap. Innego razu, tuż przed świtem, kiedy było jeszcze ciemno, na Meadow Mili, pewien pocztmistrz ścigał i nawoływał pędzącą przeraźliwymi susami, bezimienną istotę – i wielu ludzi uwierzyło w jego opowieść.

Rzecz jasna, dziwne komentarze wzbudził fakt, kiedy pewnej nocy w 1710 roku bezdietny, zrujnowany starzec został pochowany w krypcie za domem, opodal po zbawionej napisu płyty nagrobnej. Drzwi na poddasze nigdy nie zostały otwarte, ale dom pozostawiono w nietkniętym stanie, przerażający i opuszczony. Kiedy dobiegały zeń osobliwe odgłosy, ludzie szeptali i wzdrygali się nerwowo, mając nadzieję, że zamek na drzwiach

poddasza był dostatecznie silny. Ich nadzieje okazały się jednak płonne, kiedy na plebanii miała miejsce upiorna tragedia – potworna zbrodnia, z której nikt nie uszedł cało, a ciała były straszliwie zmasakrowane. W miarę upływu lat legendy nabierały coraz bardziej mrocznego charakteru – przypuszczam, że to coś, jeżeli było żywe, musiało umrzeć. Wspomnienia jednak trwały nadal w ludzkiej pamięci i z roku na rok stawały się upiorniejsze, ponieważ otoczone były tak głębokim nimbem tajemnicy.

Podczas mej opowieści, Manton praktycznie przez cały czas milczał i zauważyłem, iż moje słowa wywarły na nim ogromne wrażenie. Nie wybuchnął śmiechem kiedy przerwałem, ale, jak najbardziej poważnie, zapytał o chłopca, który w 1795 roku postradał zmysły i który był bohaterem mego opowiadania. Powiedziałem mu dlaczego chłopiec udał się do tego opuszczonego, unikanego przez wszystkich domu i stwierdziłem, że powinno go to zainteresować, gdyż wierzył, że w oknach pozostają uwiecznione odbicia tych, którzy przed nimi siadywali. Chłopiec chciał zobaczyć okna tego upiornego poddasza, powodowany opowieściami o widywanych za nimi istotach, i wrócił wrzeszcząc jak opętany.

Manton, kiedy to mówiłem, pogrążony był w zamyśleniu, ale stopniowo odzyskiwał swój analityczny sposób rozumowania. Aby kontynuować nasz spór przyjął możliwość rzeczywistego istnienia jakiegoś nienaturalnego monstrum, ale upomniał mnie, że nawet najbardziej chory wybryk natury nie musi być NIENAZWANY lub naukowo nieopisany.

Podziwiając jego przekonanie i upór, dorzuciłem jeszcze kilka informacji zebranych wśród starych mieszkańców tych okolic. Późniejsze legendy – wyjaśniłem – dotyczą ogromnych, potwornych widm, bardziej przerażających niż jakakolwiek istota z krwi i kości, duchów przybierających kształt niewyobrażalnych bestii – niekiedy wizualnych, kiedy indziej zaś jedynie wyczuwalnych, które pojawiają się w

bezksiężycowe noce aby nawiedzać stary dom, znajdującą się za nim kryptę i grób, gdzie obok pozbawionej napisu płyty cmentarnej, wyrosło młode drzewo, niezależnie od tego, czy owe widma rzeczywiście wysysały krew. albo jak głosiły plotki, rozrywały ludzi na strzępy, nie ulega wątpliwości, że wywierały na ludzi silny i nieustający wpływ; starzy mieszkańcy tych okolic obawiali się ich jak ognia, choć przez ostatnie dwa pokolenia owe posępne historie zostały nieco zapomniane – być może umierają śmiercią naturalną, ponieważ nikt ich nie wspomina. Poza tym, wkraczając na poletko estetyki, jeśli psychiczne emanacje istot ludzkich ulegają groteskowym deformacjom, co mogłoby lepiej wyrazić skrzywione i złowrogie odbicie, jeżeli nie obraz złośliwego ducha, chaotycznej perwersji i deprawacji, apoteozę mrocznego, chorego bluźnierstwa przeciwko naturze? Czy stworzona przez "martwy" mózg hybrydycznego koszmaru mglista zgroza nie stałaby się w efekcie odrażającą w swej prawdziwości wizją jedyne w swoim rodzaju, odrażającego i zatrważającego NIENAZWANEGO?

Musiało już być bardzo późno, nietoperz przeleciał tuż obok, ocierając się lekko o mnie i wydaje mi się, że dotknął również Mantona, bo choć go nie widziałem, poczułem, że podniósł rękę. Odezwał się tymi słowami:

– Czy ten dom z oknem na poddaszu wciąż jeszcze stoi i jest opuszczony?

– Tak – odparłem. – Widziałem go.

– I znalazłeś tam coś – na poddaszu albo gdzieś indziej?

– Pod okapem leżał stos kości. Być może to właśnie te kości zobaczył ów chłopiec; jeżeli był dostatecznie wrażliwy, nie musiał widzieć odbicia w szybie aby postradać zmysły. Jeżeli wszystkie należały do jednej istoty, musiał to być naprawdę zatrważający, ogromny potwór. Byłoby bluźnierstwem pozostawienie takich szczątków nie pogrzebanych, toteż

wróciłem tam z workiem i zaniósłem je do grobowca za domem. Była tam szczelina przez którą wsunąłem je do środka, nie uważaj mnie za głupca – powinieneś być widzieć tę czaszkę. Miała czterocalowe rogi, ale twarz i szczęka wyglądały jak ludzkie.

W końcu poczułem wyraźnie, że siedzący tuż obok mnie Manton wzdrygnął się. Mimo to jednak, jego ciekawość ani trochę nie osłabła.

– A co z szybami?

– Wszystkie powybijane. W jednym z okien brakowało framugi, w innych zaś nie było nawet jednego kawałka szkła. To były żebrowane okna, starego typu, które wyszły z użycia przed końcem siedemnastego wieku. Wygląda na to, że szyb nie było w oknach tego domu od dobrych stu lat – może to chłopiec je powybiwał – legendy o tym nie wspominają.

Manton znów się zamyślił.

– Chciałbym zobaczyć ten dom. Gdzie on jest? Szyby nie szyby, chciałbym mu się przyjrzeć. Podobnie jak grobowcowi, do którego włożyłeś tamte kości i temu drugiemu, bez napisów... to wszystko musi być naprawdę przerażające.

– Widziałeś to wszystko... dopóki nie zrobiło się ciemno.

Mój przyjaciel był bardziej zdenerwowany niż przypuszczałem, bo kiedy zakończyłem moje małe przedstawienie, odsunął się ode mnie gwałtownie i otworzywszy szeroko usta wydał najpierw zduszone chrząknięcie, a potem przeraźliwy, przeciągły krzyk, w którym zawarło się całe napięcie skumulowane w jego wnętrzu przez ten długi wieczór. Był to dziwny krzyk i tym bardziej przerażający, że doczekał się odpowiedzi. Brzmiał jeszcze, kiedy w otaczającej mnie atramentowej ciemności usłyszałem głuchy trzask – dźwięk otwieranego żebrowanego okna, w stojącym nieopodal przeklętym domu. A jako że inne framugi odpadły już przed wieloma laty,

nie miałem wątpliwości, iż słyszałem skrzypnięcie framugi owego demonicznego, pozbawionego szyb, przerażającego okna na poddaszu.

Zaraz potem, również od strony domu, buchnął szumiący upiornie podmuch lodowatego, cuchnącego powietrza i usłyszałem przeszywający do szpiku kości wrzask rozlegający się tuż obok mnie, przy samej krawędzi szczeliny owego mrocznego grobowca kryjącego szczątki człowieka i potwora. W ułamek sekundy później zostałem zrzucony z mego przeraźliwego siedziska potężnym uderzeniem jakiejś diabelskiej, niewidzialnej istoty gigantycznych rozmiarów, lecz nieokreślonej natury. Oszołomiony, wylądowałem bezwładnie na wilgotnej ziemi, podczas gdy od strony grobowca doszły mnie zduszone oddechy, odgłosy szamotaniny i warknięcia. Moja wyobraźnia mimowolnie zaludniła mroczną przestrzeń wokół nas Miltonowskimi legionami zdeformowanych, zniekształconych potępieńców.

Znów powiał szumiący, przyprawiający o mdłości, lodowaty wicher, a potem rozległ się przeciągły zgrzyt obłuzowanych cegieł i pękających tynków; na szczęście w tym momencie straciłem przytomność i nie zdążyłem dowiedzieć się co on oznaczał.

Manton, chociaż mniejszy ode mnie, jest bardziej wytrzymały i ma końskie zdrowie, bo pomimo iż odniósł o wiele poważniejsze obrażenia, ocknęliśmy się niemal jednocześnie. Nasze łóżka stały obok siebie i już po kilku sekundach zorientowaliśmy się, że znajdujemy się w szpitalu Św. Marii. Wokół nas tłoczyli się zaciekawieni pracownicy szpitala, pragnący dopomóc naszej pamięci poprzez wyjaśnienie w jaki sposób się tu dostaliśmy; niebawem dowiedzieliśmy się o farmerze, który odnalazł nas w południe, na odludnym poletku za Meadow Hill, oddalonym o milę od starego cmentarza, w miejscu, gdzie jak wieść głosi, stała niegdyś stara rzeźnia. Manton miał dwie paskudne rany na piersiach i kilka mniej

groźnych ran, przypominających zadrapania, na plecach. Ja nie odniosłem poważniejszych obrażeń, poza .tym, że byłem poobijany i posiniaczony, choć nie ulega wątpliwości, że ślady rozszczepionego kopyta, widniejące na moim ciele budziły ogólne zainteresowanie. Ryło jasne, że Manton wiedział więcej niż ja, ale nie udzielił zdumionym i zaciekawionym lekarzom żadnych wyjaśnień, dopóki nie poinformowali go o rodzaju ran jakie odnieśliśmy. Dopiero wtedy stwierdził, że zostaliśmy zaatakowani przez rozszalałego byka – choć było to, rzecz jasna, nader wątpliwe i niejasne wytłumaczenie.

Kiedy lekarze i pielęgniarki wyszli, wyszeptałem, z wyraźnym przerażeniem w głosie – Dobry Boże, Manton, CO TO BYŁO? Te blizny i zadrapania – CZY RZECZYWIŚCIE BYŁO TAK JAK MÓWIŁEŚ? – Byłem jednak zbyt oszołomiony aby zakrzyknąć z radości, kiedy, również szeptałem, powiedział mi to, czego się w głębi duszy spodziewałem.

– nie. TO WCALE NIE BYŁO TAK. To COŚ było WSZĘDZIE – jak galareta, błoto czy szlam, a mimo to miało kształty, tysiąc różnych koszmarnych kształtów przekraczających wszelkie ludzkie wyobrażenia i możliwości zapamiętywania. To COŚ miało oczy – i skazę na jednym oku. To była otchłań, czeluść, maelstrom, apoteoza wszelkiej ohydy. Skrajny koszmar. Carter, to było NIENAZWANE!